Rok 2 Chojnice, dnia 19 października 1933. Nr 81

KRAINA POWIEŚCI

BEZPŁATNY DODATEK POWIESCIOWY - WYCHODZI 2 RAZY W TYGODNIU

SIEROTY

POWIEŚĆ Z NIEDAWNYCH CZASÓW

38

W dole szumiała woda cicho i łagodnie. Przed Alfredem otworzyła się teraz rzeczywista otchłań. Wystarczy, ażeby przeskoczył poręcz mostu, a otchłań pochłonie go czarna.

Lecz w tej chwili przypomniały mu się słowa matki: „Człowiek może się potępić, ale nie może się zniszczyć bez śladu". Potem wspomniał o sennem widzeniu matki i zadrżał na myśl, że skoro teraz skoczy do rzeki i w ten sposób życie zakończy, będzie kiedyś należał do tych, którzy życzyć sobie będą, ażeby dusze ich umarły.

Trwoga go ogarnęła wielka; porwał się i zniknął w cieniach nocy...

Tak nisko upadł Alfred Gdy namiętności całkiem go opanowały, serce jego stało się siedzibą zmysłowości i złego. Od czasu do czasu, jak echo ciche, odzywało się w nim poczucie dobrego, ale wrzawa panujących w nim namiętności tłumiła te głosy.

Alfred stracił zupełnie wiarę a z obojętności dla religji, powstały z czasem wszystkie jego grzechy. Cóż bowiem zdoła zdziałać człowiek, nie wspierany w swojem życiu i uczynkach siłą wiary? Namiętności tak nim owładną, że stanie się ich niewolnikiem i spadać będzie coraz niżej. Jeżeli pewnego dnia ocknie się i zdoła rozejrzeć wkoło siebie, napróżno będzie szukał ratunku w sobie.

W tem położeniu znajdował się obecnie Alfred. Jego zmysłowa natura podeptała prawa Boga i wyrwała z serca pociechę wiecznego zbawienia. Nic w nim nie pozostało, jak zimny rozum, a z tym rozumem dostał się na bezdroża, z których wydobyć się nie umiał.

Jedno tylko jest źródło, skąd płynie siła cnoty, błogosławieństwo dla ludzi i pomyślność dla narodów, a tem źródłem jest wiara święta.

57. Ostatnie napomnienie.

Z niecierpliwością oczekiwana wiadomość z stolicy nadeszła nakoniec: maszynie Franka Maka i Lisa przyznano nagrodę stu tysięcy marek. Równocześnie zaś rząd zwrócił się do nich z zapytaniem, czyby obaj wynalazcy nie chcieli przyjąć posady w rządowych fabrykach. Zapewniano im dobrą płacę i emeryturę na starość.

Jeszcze nie zdołali obaj postanowić, co na to odpowiedzieć, gdy poczęli się zjawiać u nich wysłańcy wielkich fabrykantów z zapytaniem, czyby maszyny sprzedać im nie chcieli. Ofiarowali im pół miljona marek, jeżeli sprzedadzą maszynę z wszystkiemi prawami wynalazców.

Mak i Lis uwierzyli teraz w szczęście i poczuli się bogatymi. Po długiej naradzie jednak nie przyjęli ani posady rządowej, ani nie zgodzili się na sprzedaż wynalazku, lecz postanowili sami zbudować fabrykę, w której przede wszystkiem mieli zamiar wyrabiać nowe maszyny.

Sto tysięcy, otrzymane od rządu, wprawdzie nie starczyły na to, lecz w kłopocie o pieniądze obecnie już nie byli. Skoro bowiem ogłosili, że szukają wspólników, niebawem mieli pieniędzy podostatkiem. Wybrawszy sobie najlepszych, założyli towarzystwo akcyjne pod firmą obu wynalazców. Mak został wybrany kupieckim, Lis technicznym kierownikiem całego przedsiębiorstwa.

Na polu, kupionem swego czasu przez Lisa, zaczęły się wznosić gmachy fabryczne. Budowano z gorączkową szybkością, a ponieważ pieniędzy nie brakło, wszystko szło raźno. Z innych fabryk sprowadzono werkmistrzów, zapewniając im dobry zarobek.

W końcu lata wszystko było przygotowane, i fabrykę puszczono w ruch.

Nad bramą główną zawisła firma towarzystwa, złotemi literami na czarnem tle napisana, a brzmiała ona:

„Mack i Liss".

Niby to nazwiska te same, a jednak inne, aniżeli były. Franek bowiem zwał się Makiem z ojca, a teraz dodał sobie literę i stał się Mackiem, pan „obermonter" zaś był dotąd zawsze zwyczajnym Lisem, a teraz dodał także jedną literę i pisał się Liss.

Te dodatki niby tak małe, zmieniły jednak zupełnie charakter nazwiska. Z polskich mian stały się niemieckie.

Ale ta zmiana odpowiadała przemianie, jaka się we wnętrzu obu tych ludzi dokonała. Wyzuli się oni z tego, czem byli, a stali się czemś innem. Opuścili świat, do którego należeli, a weszli w inny. Zmieniając nazwiska, zacierali za sobą ślady przeszłości.

Nie oni pierwsi i nie ostatni tak postąpili ale tak oni, jak i wszyscy, którzy czynią tak samo, zapominają, że nazwisko po ojcach wzięte jest rzeczą drogą i szanowną i stanowi czcigodną spuściznę rodową. Zazwyczaj samym dźwiękiem już wskazuje ono na pochodzenie tego, który je nosi. Jedna litera więcej lub mniej zmienia nazwisko i przekształca je na inne.

Kto się ojcowskiego nazwiska wypiera, wypiera się ojca. Staje niejako przed światem i mówi:

— Oto wyrzekam się tego, któremu życie zawdzięczam; oto się wstydzę tego, który mnie

wychował; oto gardzę jego nazwiskiem i odrzucam je od siebie.

Tak Mak, jak Lis dość mieli rozumu, ażeby pojąć, co czynią, zmieniając nazwisko i dla tego wina ich tem większa. Lecz i każdy inny, prosty człowiek, nie zdoła się uniewinnić, skoro postąpi tak samo. Nie może si ętem zastawić, że go inni tak zapisali, albo że z niewiadomości sam się inaczej podpisał, bo nazwisko ojca każdy dobrze zna a będąc jego właścicielem, ma prawo wszędzie i zawsze żądać, aby je tak pisano, jak należy.

Matce Maka nie powiedizano o tej zmianie lecz Jadwisia czytała ją niemal co dzień i rumieniła się za brata. Powiedzieć mu dotąd nie mogła, jak go za to gani, bo oddawna Franka nie widziała. Nie przychodził on do matki, gdyż jak mówił, zajętą miał głowę swojemi sprawami. I w miarę jak coraz bliższym stawał się rodzinie Lisa, tak coraz dalszym swojej własnej.

Gdy sobie kiedy niekiedy przypomniał o matce, czuł, że między nią a nim otworzyła się jakby przpaść, którą trudno mu przebyć. Myślał o niej nie jako o matce, lecz o pewnej osobie, która go bądźcobądź obchodzi. Ile razy zaś myślał, tyle razy stawał się niecierpliwym. I za tem poszło, że gdy zrazu unikał spotkania ze swoją rodziną, teraz już zaczął unikać nawet myśli o niej.

Ludzie spostrzegli to postępowanie syna i oburzali się na niego. „Nie będzie błogosławieństwa z nim mówili, skoro matki się wypiera".

Franek dowiedział się o gadaniu ludzkiem, lecz nie brał go sobie do serca.

Jednego dnia jednakże posłyszał przypadkiem rozmowę robotników, która mu dopiekła do ostatniej skóry.

— Wiesz bracie — mówił jeden — choć ten Mak jest bogatym, nie mijałbym się z nim.

— Czemu?

— Musi on być złym człowiekiem. O matkę wcale nie dba. I chociaż ma na to, pozwala, ażeby matka jego i siostra mieszkały u Rękawika komornem.

— Skąpiec i niewdzięcznik.

— Nie wstydzi się tego, że obcy człowiek matkę żywi, a on nic dla niej nie czyni.

— Hańba!

Te słowa ugodziły Franka w najczulszy nerw. Bądźcobądź to jest jego matka i siostra, które żyją na łasce obcych ludzi. Trzeba temu koniec położyć.

Pod wieczór tego samego dnia zajechał przeto powozem przed dom Rękawików i wysiadłszy spiesznie, wszedł do mieszkania matki.

Makowa siedziała, odmawiając różaniec, Jadwigi nie było w izbie.

— Kto tu? — spytała wdowa.

— To ja matko, — odrzekł Franek.

— To ty, synu — zowałał z radością matka. — Tak dawno nie byłeś u nas? Tak dawno nie słyszałam twego głosu? Mów, synu, mów, jakże mi miłym jest twój głos.

Frankowi nie było na rękę, że matka się rozczula, obojętnym przeto tonem odpowiedział:

— Wiecie, matka, że mam teraz na to, aby wam dopomoc.

— Chwalić Bogu za to.

— Wy tu mieszkacie, jakby na łasce Rękawików — mówił Franek dalej — nie mogę na to pozwolić.

— Nie mów o łasce, bo Jadwisia zarabia tyle iż nie jesteśmy ciężarem dla poczciwych Rękawików. Dawniej wyświadczali nam łaskę, za którą do śmierci wdzięczną im będę.

Ludzie jednak mówią o tem i obgadują mnie że pozwalam na to.

— Jednak zawsze chętniej źle, niż dobrze mówią.(

— Ale mnie to niecierpliwi, — zawołał żywo Franek — i dla tego właśnie przyszedłem, ażeby wam powiedzieć, że jestem gotów płacić wam tyle, ile potrzeba, ale pod jednym warunkiem.

— Że wyprowadzicie się tustąd...

— Od Rękawików?

— Nie ze Zawady.

Makowa spuściła głowę na piersi i zaczęła ciężko oddycha. Franek patrzał na nią bacznie. Chwilę trwało to milczenie, aż Franek znów się odezwał:

— Zgadzacie się na to?

Makowa podniosła głowę i odpowiedziała:

— Nie synu, nie zgadzam się na to i nigdy się nie zgodzę.

— Dlaczego?

— Tu się urodziłam, tu całe życie przeżyłam i tu chcę umrzeć.

— Lecz gdzieindziej możecie wygodniej przeżyć starość, zapłacę, ile chcecie...

Makowa nic na to nie odpowiadała, lecz boleść szarpała jej serce.

— Czemu mnie wyganiasz z ojczystej wsi, synu? Wszakże ty sam do niej wróciłeś, a mnie chcesz się stąd wyzbyć?

— Ja wróciłem, bo chcę się tutaj dorobić, inaczej nie byłbym wrócił. Gdybym widział, że tu dla mnie pola niema, opuszczę Zawadę natychmiast.

— Tylko dla tego wróciłeś?

— Tak, tylko dlatego. Namyślcie się i powiedzcie mi, że się zgadzacie?

Makowa podniosła się nagle i podniesionym głosem rzekła:

— Nie ruszę się stąd!

Franek zaczął się gniewać i niespokojnie chodził po pokoju.

Wtem matka rzekła:

— Dotąd tyś mi się pytał, a ja odpowiadałam. Teraz ja się będę pytała, a ty odpowiadaj.

Czy to prawda, co ludzie mówią, że się chcesz żenić z córką Lisa?

— Prawda.

— Czyś się zastanowił, co czynisz?

— Owszem, panna mi się podoba, jest bogata i taka, jakiej na żonę pragnę.

— Ale jest protestantką?

— Czy protestanci nie ludzie?

— Jest Niemką?

— Choćby była Japonką, gdy mi się podoba, to dosyć.

— Nie, to nie dosyć. Piękność i młodość mijają szybko, ale miłość zostaje na zawsze, jeśli się dwoje ludzi pokochało prawdziwie i tak dobrało, że jedną niejako całość stanowią.

Wy zaś oboje nie możecie być taką całością bo zbyt wielkie zachodzą między wami różnice...

— Tak było dawniej, — przerwał Franek — teraz ludzie inaczej się na to zapatrują.

— To źle. Czy możesz połączyć ogień z wodą w jedność, bez ujmy dla jednej i drugiej strony. Jakże chcesz, aby małżeństwo twoje było prawdziiwe małżeństwem wedle Boga, skoro nie zważasz na to, co jest rzeczą najważniejszą? Oboje małżonkowie mają czuć tę samą miłość do Boga, dusze ich mają wzlatywać tą

samą drogą ku Niebiosom, serca ich mają równo bić dla każdej sprawy. Jest jaka sprawa święta, ma nią być dla obojgu; wszystkie myśli i dążenia mają być zgodne i jedne.

Tymczasem u was dwie rzeczy kardynalne są różne: wiara i narodowość...

— Za pozwoleniem, — przerwał jej Franek — zdaje mi się, że nie pojmujecie nas dobrze. W tych rzeczach jesteśmy oboje zgodni?

— Jakto?

— Bardzo prostym sposobem. Oto tak ja, jak Bety, uważamy te dwie rzeczy za obojętne.

— Na Boga, synu — zawołała Makowa. — Nie zrozumiałeś mnie zapewnie. Te dwie rzeczy to wiara i narodowość! Słyszysz?

— Słyszę, rozumiem i powtarzam: Wiara, i narodowość nic nas nie obchodzą. Nam chodzi o szczęście i o to, ażeby nam w życiu było dobrze.

Makowa pochwyciła się za głowę i jęknęła:

— Boże, Boże, racz mu darować, bo nie wie, co mówi.

Synu! Franku! zastanów się. Co się z tobą stało? Mówisz, jak poganin.

— Nie, jak poganin, ale jak człowiek postępowy, który uważa na to, ażeby takiemi niepotrzebnemi rzeczami nie uprzykszać sobie życia. Tak, tak, matko. Czasy stają się inne, świat się zmienia, postępuje...

— Niech będzie przeklęty taki postęp bez Boga i bez zasad chrześcijańskich, — wybuchnęła Makowa.

Franek spojrzał na nią i zdziwił się. Przed chwilą stała przed nim pochylona, stara kobieta, słaba i zaledwie na nogach się trzymając. Teraz jakby urosła w jego oczach, a od twarzy bił jej blask.

Podniosła w górę rękę i w te odezwała się słowa:

— Synu! Zapomniałeś, że mam do ciebie najpierwsze prawo, bom matka twoja. Wyrosłeś na człowieka, lecz synem moim pozostałeś. Bóg każe mi cię napomnieć.

Więc napominam cię jako matka dziecka napomina. Na złej znajdujesz się drodze. Zapomniałeś o Bogu, odrzuciłeś go jak przestarzałą rzecz i dufając w własne siły, myślisz, że się bez Niego obejdziesz.

Śmiałku, pamiętaj, że byli mocniejsi od ciebie, którzy tak jak ty Boga się wypierali, a w proch padli i nic nie pozostało z ich sławy i majątków. Nie dufaj w siebie, boś i ty prochem.

Wróć do Boga! Słyszysz, synu, wróć do Boga!

Gdy do Niego wrócisz, wret ci się oczy otworzą i inaczej będziesz patrzał na to, co szczęściem swojem nazywasz. Skoro przyłożysz do tego mniemanego szczęścia miarę praw Boskich poznasz dopiero, jak dalekim jesteś od prawdziwego szczęścia. Teraz tego nie widzisz, bo wzrok twój zaciemniony.

Synu, zaklinam cię, wróć do Boga!

Franek rozgniewał się na te słowa i nic dziwnego. Były one głosem sumienia, głuszonego ustawicznie. Zrazu chciał wybuchnąć, lecz się pohamował i rzekł:

— Matko, drogi nasze się rozeszły i widzę że będą się rozchodziły coraz więcej.

Bądźcie zdrowi!

Potem nie czekając, nie żegnając się, wyszedł Franek z izby.

— Synu! wróć do Boga... słyszał jeszcze za sobą głos matki.

Za chwilę wracał szybko do miasta. Woźnica popędzał konie, a Franek ciągle wołał na niego: Prędzej, prędzej!

Czemprędzej chciał w swoim świecie zapomnieć o słowach matki.

Konie pędziły a Franek tak był zajęty własnemi myślami, że ani nie spostrzegł, jak wjechali w las, otulony mrokami wieczoru.

— Chciałem uczynić coś dla niej, ale nie przyjęła. Cóż mam począć? Umywam przeto ręce

Mego życia nie mogę urządzić podług tego, jak mi kto inny radzi, lecz tak, jak mnie się podoba!

Głupstwo! Na co ja o tem wogóle myślę? Sprawa już załatwiona...

Wtem konie nagle stanęły a wóz tak się wstrząsnął, że Franek omal nie wypadł z niego.

— Co się stało? — wrzasnął.

— Konie się zlękły — odrzekł woźnica — bo pod krzyżem ktoś klęczy.

— Pod krzyżem... — powtórzył Franek i włosy stanęły mu dębem, bo przypomniał sobie, że przejeżdżają koło krzyża, przy którym ojciec jego został zabity

Jakkolwiek był odważny, a w duchy nie wierzył, wszelako na widok tego krzyża przeszły mu dreszcze po całem ciele.

Wtem odezwał się głos:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus

— Na wieki — odpowiedział woźnica.

To żebrak modlił się pod krzyżem, a teraz powstał i pozdrowił przejeżdżających.

— Straszycie ludzi po nocy — zawołał na niego Franek.

— Modliłem się pod krzyżem — odpowiedział żebrak, za dusze w czyścu cierpiące. Darujcie, jeźlim was przestraszył.

Franek dobył pieniądz i podał go żebrakowi a potem krzyknął na woźnicę:

— Jedź!

Woźnica popędził i niezadługo stanęli na miejscu.

Franek miał zamiar udać się jak co wieczór do Lisów, lecz zaniechał tego, ponieważ był bardzo zdenerwowany. Rozmowa z matką i przestrach przy krzyżu przejęły go bardziej, niż sam przyznać chciał przed sobą.

Przypomniała mu się owa chwila okropna, gdy pod tym samym krzyżem ujrzał ojca martwego. Kilka godzin przedtem jeszcze z nim rozmawiał; cieszyli się obaj z wynalazku i roili sobie, jakie się dla nich życie rozpocznie, gdy wynalazek okaże się dobrym. A oto wszystko to się skończyło z chwilą śmierci ojca nagłej i okropnej.

Jakżeby inaczej były się pokierowały losy Franka, gdyby ojciec był pozostał przy życiu! Zaiste byłby dziś innym człowiekiem.

Te myśli doprowadziły młodego Maka do uznania, że nie jest takim, jakimby był się stał pod okiem ojca.

Przez chwilę zdawało się, że Franek żałuje iż nie jest tem, czem by mógł był być, lecz potem odsunął te myśli na stronę.

— Co się stało, odstać się nie może — pomyślał.

Tej nocy jednak nie mógł Franek spać. Budziły go widma straszne, niepokoiły sny, a przeszłość dawna nasuwała mu się przed oczy ducha, nękając go i trwożąc.

Lecz wschodzący ranek rozproszył senne widziadła, uspokoił nerwy a Franek przestał o tem myśleć, co było.

Było i przeszło, niech żyje przyszłość! — tak się pocieszał.

W dwa tygodnie potem odbyły się zaręczyny Franka z Bety, hucznie i po pańsku.. Z rodziny Maków nikt nie brał w tej uroczystości udziału. Makowa spędziła ów wieczór we łzach i modlitwie za syna.

58. Kulturkampf.

Cesarz rzymski Neron walcząc z chrześcijaństwem, występował jako przedstawiciel pogańskiej kultury przeciwko wyznawcom Jezusa Chrystusa. To był pierwszy kulturkampf.

Heretycy, którzy później powstali, jak Arjusz Hus i Luter, głosili także, że walczą w imię kultury przeciwko Kościołowi katolickiemu, który jako wroga nauki i postępu przedstawiali.

Lutrowi chodziło o dwie sprawy kardynalne o zniszczenie Kościoła katolickiego i utworzenie narodowego kościoła dla Niemiec. Narodowy ten kościół miał połączyć wszystkie państwa niemieckie najprzód pod względem kościelnym a następnie podpolityczym.

Zrazu książęta sascy stali na czele ruchu ewangelickiego, później gdy za sprawą Polski wrócili znowu na łono katolickiego Kościoła, ujęli książęta brandenburscy ster spraw ewangelickich z wyraźnym celem połączenia przez Kościół ewagelicki wszystkich państw niemieckich w jedną całość.

Powodzenie książąt brandenburskich, rozrost ich potęgi, zyskanie nowych krajów, wyniesienie się do godności królewskiej, wszystko to podniosło ich potęgę i znaczenie jako książąt protestanckich.

W krajach jednak różnym iczasy do Brandenburgji przyłączonych, jak w Prusach, Śląsku, szczególnie jednak w prowincjach, zabranych Polsce, mieszkało bardzo wielu katolików Krolowie pruscy przyrzekali im wprawdzie, że wiarę ich uszanują, wszelako wykonanie tych obietnic zależało zupełnie od woli panujących. Praw, zwaratujących katolikom wolność religji, nie było.

Dopiero gdy w roku 1848 z powodu rewolucji król Fryderyk Wilhelm IV, moarcha sprawiedliwy i łagodny, na nadanie praw konstytucyjnych się zgodził, także i prawa religji i Kościoła katolickiego się tyczące, zostały spisane i wydane.

Te prawa stanęły jednak na przeszkodzie planowi, ażeby Prusy stać się mogły tem, czem podług myśli i chęci protestantów stać się miały to jest królestwem protestanckiem. Nadanie praw katolikom było w ich mniemaniu krokiem uczynionym wstecz.

Wyczekiwali przeto wielkiego męża, któryby „reformację" zaczętą przez Lutra dalej prowadził i stale dążył do celu; celem tym zaś było powiększenie Prus, rozszerzenie protestantyzmu, i utworzenie protestanckiego cesarstwa.

Mąż ten się znalazł: był nim Bismarck.

Bismarck zaliczał się do sekty „czesko-luterskich braci", która przed innymi odznaczała się zaciekłością i fa[illegible]yzme[illegible] względem kat[illegible]ów. Jako mąż stanu nie mógł Bismarck otwarcie do tych zasad się przyznawać, ale w sercu je miał i do nich się stosował, utwierdz. się w swoich religijnych przekonaniach przez czytanie książki pod tytułem: „Codziene rozmyślania dla braci czesko-luterskich", w której codzień, zanim zasnął, pilnie czytał.

Nie odrazu jednak zalecało się uderzyć w katolików. To też w pierwszych latach swojego ministerstwa zajęty jest Bismarck innemi sprawami. Dopiero po zwyciężeniu dwóch najpotężniejszych katolickich mocarstw, Austrji i Francji, uznał, że właściwa pora nadeszła, „ażeby się nietylko w Niemczech stać panem katolicyzmu" ale nadto świat germański, przeważnie protestancki, wywyższyć ponad romański, którego narody, jak Włochy, Francja, Hiszpanja, katolicką wiarę wyznają.

Już przed wojną francuską była chwila, z której Bismarck chciał skorzystać. Sobór Watykański miał przyjąć dogmat o nieomylności Papieża. Podczas rozpraw oświadczyli się niektórzy biskupi z Niemiec przeciwko temu. Wtedy Bismarck polecił posłowi pruskiemu przy Ojcu św., ażeby ostrożnie ale energicznie biskupów do oporu zachęcał. Mniemał on, że skoro biskupi dogmatu nie uznają, łatwą dlań będzie sprawą, skłonić ich do zerwania z Rzymem.

Ale Pan Bóg nie dopuścił do tego. Dnia 18 lipca 1870 nastąpiło ogłoszenie dogmatu o nieomylności Papieża, a dzień później wypowiedziała Francja wojnę Niemcom.

Bismarck zajęty wojną nie mógł próbować aby skorzystać ze sposobności, a tymczasem też wszyscy biskupi ukorzyli się i przyjęli dogmat.

Dopiero przeto po ukończeniu wojny francuskiej, tak bardzo szczęśliwej, zdołał Bismarck przystąpić do walki z katolikami. Zabierał się do niej z tem większą otuchą, bo czuł w sobie wielką siłę, wyrosłą ze zwycięstwa i mniemał, że nic mu się oprzeć nie zdoła.

I rzeczywiście kto po ludzku liczył siły obu stron, do walki występujących, musiał się trwożyć o katolików.

Z jednej strony bowiem stał Bismarck, wszechwładny i potężny, na którego skinienie urzędicy rządowi wykouywali ślepo rozkazy. Nadto jeszcze znalazł poparcie u wielkich stronnictw parlamentarnych, jak liberałów, postępowców, konserwatystów, a i ci go chwalili, którzy głosili, że „wtedy dopiero nastanie prawdziwa wolność, gdy ostatniego króla powieszą na jelitach ostatniego księdza".

Do pomocy stawiły mu się w całym kraju gazety ewangelickie tak bardzo nawet między katolikami rozpowszechnione i broniąc polityki kanclerza, wprowadzały w błąd ludność ewangelicką przesadzonemi wiadomościami o postępowaniu Papieża, biskupów, księży i ludu katolickiego.

Była to armja ogromna, pewna siebie, ufająca w siłę swoją i wierząca w powodzenie tej nowej walki. Jakżeby nie mieli wierzyć, skoro niedawno Austrja, a co dopiero potężna Francja w proch zostały zepchnięte i upokorzone pomimo armji, fortec i armat, jakiemi rozporządzały

— Hejże na katolików! Takie hasło rozlegało się na całym obszarze ziem, do nowego niemieckiego cesarstwa należących. Okrzyk ten szedł daleko, daleko, a im dalej leciał, tem groźniej brzmiał, aż zamienił się w straszną burzę, lata długie trwające pełną błyskawic i grzmotów.

Wobec tego huraganu stali katolicy zrazu jak stado spłoszonego ptactwa.

— Za co nas prześladują, mówili, nas spokojnych obywateli, którzy niczego nie żądamy, jak swobody dla naszej wiary świętej.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Drukiem druk. Dziennika Pomorskiego, Chojnice.
Redaktor dodatku: B. Nuszkowski, Chojnice
Wydawca Juljusz Schreiber, Chojnice.